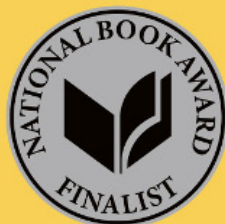


Męczennik!

„Najlepsza powieść, jaką kiedykolwiek czytałeś o radości płynącej z języka, uzależnieniu, wysiedleniu, męczeństwie, przynależności i tęsknocie za domem” — LAUREN GROFF | Przełożył JERZY KOZŁOWSKI



POWIEŚĆ

FILIA

Kaveh Akbar

Męczeńnik!

Kaveh Akbar

Przełożył JERZY KOZŁOWSKI

FILIA

męczennikom, którzy żyją

„Mój Boże, teraz dopiero przypomniałam sobie, że ludzie umierają”.

Clarice Lispector

(tłum. Anna Hermanowicz-Pałka)

CYRUS SHAMS



UNIWERSYTET KEADY'EGO, 2015

MOŻE PRZEZ TO, ŻE ZAŻYŁ NIEODPOWIEDNIE NARKOTYKI we właściwej kolejności lub odpowiednie narkotyki w niewłaściwej kolejności, gdy Bóg po dwudziestosiedmioletnim milczeniu wreszcie do niego przemówił, Cyrus bardziej niż czegokolwiek innego zapragnął powtórki. Klaryfikacji. Leżąc na zalatującym moczem i neutralizatorem materacu w zalatującej moczem i neutralizatorem sypialni, wgapił się w jedyną w tym pokoju żarówkę i bardzo chciał, żeby ta znowu zamrugała, pragnął, żeby Bóg potwierdził, iż pierwsze mrugnięcie żarówki było jego interwencją, a nie wynikało jedynie z kiepskiego stanu instalacji elektrycznej w tej starej norze.

„Zapał i zgaś” – myślał Cyrus, nie po raz pierwszy w swoim życiu. „Wystarczy jedno króciutkie mignięcie, a sprzedam cały ten szajs i kupię wielbłąda. Zacznę wszystko od nowa”. Cały ten szajs w tym momencie składał się ze sterty brudnych ciuchów do prania oraz stosu książek wypożyczonych z różnych bibliotek i niezwróconych w terminie, poezji i biografii. *Do latarni morskiej, Mój wujek Napoleon*. Ale mniejsza z tym wszystkim, Cyrus nie żartował. Czemu niby prorok Mahomet dostał wizyty samego archanioła? Czemu Szawłowi w drodze do Damaszku ukazała się dosłownie światłość z nieba? Rzecz jasna po tak oczywistym objawieniu każdemu łatwo

by było rozwinąć w sobie niewzruszoną wiarę. Bo czy to fair, że sławi się tych koleśi za wiarę, która nie była wcale wiarą, a jedynie poddaniem się czemuś, co wyraźnie jawiło im się jako coś prawdziwego? I jaki ma sens karanie reszty ludzkości, która nigdy nie doznała tak ewidentnego objawienia? Skazywanie ich na to, by wpadali z jednego kryzysu w drugi, rozpaczliwie samotni?

Wtedy jednak to się przytrafiło także Cyrusowi, właśnie tam, w tym obskurnym pokoju w Indianie. Poprosił Boga, by mu się objawił, objawiła, objawili, objawiło, wszystko jedno. Poprosił z całą żarliwością, jaką miał do dyspozycji, a miał jej od groma. Jeśli każdy związek to seria posunięć do przodu i do tyłu, Cyrus prawie nigdy nie był typem skorym do odwrotu, ośmielony słowem lub uśmiechem ze wzruszeniem ramion dzielił się wszystkim ważnym na swój temat, jak gdyby chciał powiedzieć: „Takie są po prostu fakty. Czego miałbym się wstydzić?”.

Leżał tam na gołym materacu na drewnianej podłodze, pozwalał niczym jakiś zblazowany książkę, by popiół z papierosa spadał na jego nagi brzuch, i myślał: „Panie, zamrugaj, a kupię sobie osła, obiecuję, kupię wielbłąda i wyprawię się na nim do Medyny, do Ogrójca, nieważne, tylko zamigocz, a już ja coś wymyślę, obiecuję”. O tym właśnie myślał i wtedy to – coś – się stało. Żarówka przygaśła na chwilę, a może zrobiło się jaśniej, jakby po drugiej stronie ulicy błysnął flesz, w ułamku ułamka sekundy, a potem znów świeciła normalnie, jak zwykła żółta żarówka.

Cyrus próbował sobie przypomnieć, czym się tego dnia nafaszerował. Standardowa mieszanka alkoholu, trawki, papierosów, klonazepamu, soli amfetaminy i gabepentyny na różnych etapach dnia. Zostało mu parę tabletek oksykodonu z paracetamolem, ale trzymał je na wieczór. Nie zażył niczego egzotycznego, niczego, co mogłoby wywołać silne halucynacje. Czuł się właściwie całkiem normalnie w porównaniu z typowym dla niego stanem.

Zastanawiał się, czy to może sama intensywność pragnienia albo spojrzenia nadwyreżyła wzrok, aż w końcu oczy ujrzały to, co chciały ujrzeć. Zastanawiał się, czy może teraz, w tym nowym świecie,

Bóg tak działa. Znużony interwencjonistycznymi efektami pirotechnicznymi, takimi jak płonące krzewy i plaga szarańczy, może teraz korzystać ze zmęczonych oczu naćpanych Irańczyków na amerykańskim Środkowym Zachodzie, z butelek burbona z sieci drogerii CVS i małych różowych pigułek z symbolem G 31. Cyrus chlupnął grzdyla z gigantycznej plastikowej butli Old Crow. Whiskey była dla niego tym, czym dla zwykłych ludzi jest szafka nocna – zawsze obecna przy materacu mieściła w sobie wszystko to, co dla niego najistotniejsze. Wywabiała go codziennie z tego samego snu, w który w końcu go wpędzała.

Leżąc tam i krążąc myślami wokół ewentualnego cudu, którego właśnie był świadkiem, Cyrus prosił Boga, aby zrobił to jeszcze raz. Potwierdzenie jak powtórne wpisanie hasła do przeglądarki. Jeśli wszechwiedzący stwórca wszechświata zechciał się Cyrusowi objawić, nie może być mowy o niejasności. Cyrus wpatrywał się w górne światło, które w oparach dymu papierosowego wyglądało jak zamglony księżyc, i czekał, aż to się stanie ponownie. Nie doczekał się jednak. Dostrzeżone przez niego – lub nie – mikromrugnięcie nie powróciło. I tak, leżąc tam w kołowym stanie względnej trzeźwości – będącym samym w sobie rodzajem haju – wśród bielizny, puszek, zaschniętego moczu, pustych pomarańczowych buteleczek po pigułkach, niedoczytanych książek rozłożonych na drewnianej podłodze, wyginających grzbiety, byle nie patrzeć, Cyrus musiał podjąć decyzję.

JEDEN

œ

DWA LATA PÓŹNIEJ

PONIEDZIAŁEK



UNIWERSYTET KEADY'EGO, 6 LUTEGO 2017

– UMARŁBYM DLA CIEBIE – ZWRÓCIŁ SIĘ DO SWOJEGO ODBICIA w małym szpitalnym lustrze Cyrus. Nie był pewien, czy rzeczywiście, ale wypowiedzenie tych słów dobrze na niego podziałało. Od kilku tygodni odgrywał umieranie. Nie w sensie plathowskim – „Znów to zrobiłam. Raz na dziesięć lat”¹. Cyrus pracował jako aktor medyczny w Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Keady’ego. Za dwadzieścia dolarów za godzinę przez piętnaście godzin tygodniowo udawał, że jest jednym z tych, co „doprowadzają się do zguby”. Podobało mu się, w jaki sposób ujmuje to Koran, nie „inaczej bowiem umrzesz”, tylko „inaczej bowiem doprowadzisz się do zguby”². Jak gdybyśmy sami ściągali na siebie śmierć. Cyrus wszedł do gabinetu na trzecim piętrze szpitala, sekretarka wręczała mu kartę z danymi symulowanego pacjenta i narysowaną obok buźką wyrażającą ból w skali od zera do dziesięciu, gdzie zero to uśmiech „nic mnie nie boli”, cztery i pozioma kreska ust – „boli trochę bardziej”, a dziesięć – łkające „boli najbardziej”, z ustami w kształcie odwróconej litery U. Cyrus miał wrażenie, że odnalazł swoje powołanie.

¹ Fragment wiersza *Tatusz* Sylvii Plath w przekładzie Jana Roztworowskiego.

² Fragmenty *Koranu* w przekładzie Józefa Bielawskiego.

W niektóre dni odgrywał umierających, w inne członków rodzin. Tego wieczoru wcielał się w Sally Gutierrez, matkę trojga dzieci, i buźka odzwierciedlała poziom bólu sześć: „Boli jeszcze bardziej”. Tylko tyle miał informacji, zanim przywłókł się stremowany student medycyny w źle dopasowanym białym kitlu i powiadomił Cyrusa/Sally, że córka miała wypadek, że lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy, ale nie udało się jej odratować. Cyrus podkreślił swoją reakcję do szóstki, zakreśliły mu się w oczach łzy. Zapytał studenta, czy może zobaczyć córkę. Kłął, a w pewnym momencie trochę po krzyczał. Wychodząc ze szpitala tego wieczoru, z wiklinowego koszyka na biurku sekretarki zwinął czekoladowy batonik musli.

Studenci medycyny często próbowali go nadgorliwie pocieszać, jak prezenterzy porannych talk-show. Albo mierzyła ich sztuczność całej sytuacji i ledwo się angażowali. Podsuwali komunały z listy, którą musieli wykuć na pamięć, próbowali odsyłać Cyrusa do szpitalnej poradni psychologicznej. W końcu wychodzili z gabinetu, a Cyrus zostawał, aby ocenić poziom ich empatii, wypełniając skserowany formularz. Kamekka na trójnogu rejestrowała każdą rozmowę na wypadek, gdyby trzeba się było do niej odwołać.

Czasem studenci pytali Cyrusa, czy zgodzi się na pobranie organów bliskiej osoby. Między innymi do tego typu rozmów ich szkolono. Zadaniem studentów było nakłonienie rodziny do wyrażenia zgody. Cyrus był Buckiem Stapletonem, asystentem trenera piłkarskiej reprezentacji uczelni, pobożnym katolikiem. Stateczny, dwa na skali cierpienia: „Boli troszkę”. Rysunkowa buźka wciąż lekko uśmiechnięta, choć ledwo, ledwo. Jego żona w śpiączce, mózg nie przejawia żadnych oznak aktywności.

– Ona wciąż może komuś pomóc – przekonywał student, z załopotaniem kładąc dłoń na ramieniu Cyrusa. – Wciąż może uratować komuś życie.

Dla Cyrusa wcielanie się w różne postacie stanowiło największą frajdę. Był Daisy VanBogaert, chorą na cukrzycę księżową, której amputacja nogi poniżej kolana nastąpiła zbyt późno. Poprosili go, gdy odgrywał jej rolę, żeby włożył szpitalną koszulę. Był niemieckim

imigrantem, Franzem Linksem, inżynierem cierpiącym na straszną rozedmę płuc. Był Jenną Washington, której alzheimer postępował nieoczekiwanie szybko. Ósemka. „Boli okropnie”.

Lekarka, która przeprowadzała z Cyrusem rozmowę kwalifikacyjną, starsza biała kobieta o surowym wyrazie ust i ołowianoszarych oczach, wyznała mu, że lubi zatrudniać osoby takie jak on. Gdy uniósł brew, wyjaśniła szybko:

– Mam na myśli niezawodowych aktorów. Ci mają skłonność – kreśliła dłońmi ciasne kółka – do „marlonbrandowania”. Zawsze skupiają się na sobie. Nie potrafią inaczej.

Cyrus próbował wciągnąć do tej roboty swojego współlokatora, ale Zee nie stawiał się na rozmowę kwalifikacyjną. Zbigniew Ramadan Novak, w skrócie Zee, w którego żyłach płynęła polska i egipska krew. Tłumaczył, że nie usłyszał budzika, ale Cyrus podejrzewał, że Zee po prostu stchórzył. Zresztą regularnie ujawniał się jego niechętny stosunek do tego zajęcia. Miesiąc później, gdy Cyrus szyskował się do pracy, Zee przyglądał mu się i kręcił głową.

– Co? – spytał Cyrus.

Nic.

– Co? – spytał znowu, z większym naciskiem.

Zee skrzywił się lekko, po czym powiedział:

– Cyrus, to po prostu wydaje się niezdrowe.

– Co takiego? – spytał Cyrus.

Zee znowu się skrzywił.

– Ta robota w szpitalu?

Zee kiwnął głową i wyjaśnił:

– No bo twój mózg nie rozróżnia, co jest grą, a co życiem. Po tym całym syfie, przez który przeszedłeś? To raczej nie może być dla ciebie... d o b r e. W p n i u mózgu.

– Dwadzieścia dolców za godzinę jest dla mnie całkiem dobre – odparł Cyrus, szczerząc w uśmiechu zęby – w p n i u mózgu.

Wydawało mu się, że to nieźle pieniądze. Myślał o tym, jak to w okresie, kiedy dużo pił, sprzedawał za tyle swoje osocze, dwadzieścia dolarów za wizytę, i jego odwodniona, skacowana krew

potrzebowała godzin, żeby się z niego wytoczyć jak koktajl mleczny przez cienką słomkę. Cyrus patrzył, jak ludzie przychodzą, zostają podłączeni do aparatury i wychodzą w czasie, kiedy on wciąż oddawał jedną jednostkę krwi.

– Jestem też pewien, że z czasem skorzysta na tym moja poezja – dodał Cyrus. – Jak to było? Zanim napisze się wiersze, trzeba je najpierw przeżyć?

Cyrus był dobrym poetą, kiedy pisał, tylko pisał rzadko. Zanim odstawił alkohol, nie tyle pisał, ile pił o pisaniu, opisując alkohol jako element w całym procesie niezbędny, „niemal sakramentalny” – naprawdę tak twierdził – w tym sensie, że „otwierał jego umysł na ukryty głos” zagłuszany przez powszedni „szum codzienności”. Oczywiście kiedy pił, rzadko prócz picia robił coś jeszcze. „Najpierw wypijasz łyk alkoholu, potem alkohol pije alkohol, na koniec alkohol wypija ciebie!” – obwieszczał dumnie Cyrus w pokoju, w barze, nie pamiętając, komu gwizdnął ten tekst.

Na trzeźwo znosił długie okresy niemocy twórczej, a mówiąc ściślej, twórczej ambiwalencji. Twórczej antypatii. Sprawę pogarszało to, jak reagował Zee, gdy Cyrus jednak coś napisał; Zee piął z zachwyty nad nowymi utworami współlokatora, wychwalał każdy wers i niedokładny rym i z trudem się powstrzymywał, by ich nie powiesić na drzwiach lodówki.

– Przeżyć wiersze, zanim się je napisze? – obruszył się Zee. – Daj spokój, stać cię na więcej.

– Szczerze wątpię – rzucił Cyrus, nim wyszedł z mieszkania.

GDY CYRUS WJECHAŁ NA SZPITALNY PARKING, wciąż był poirytowany. To wszystko nie musi być aż tak skomplikowane, jak to ciągle przedstawia Zee, pomyślał. Czasem życie jest po prostu tym, co się zdarza. Co się kumuluje. Był to jeden z mglistych aksjomatów z czasów pijaństwa, przy którym Cyrus wciąż uparcie trwał, nawet po wytrzeźwieniu. Wszyscy się spodziewali, że będzie analizował każdą swoją decyzję ze wszystkich stron tylko dlatego, że jest trzeźwy.

Uważał, że to nie fair. Ta fucha czy inna, to życie czy inne. Już samo niezagłądanie do kieliszka było wyczynem iście herkulesowym. Należało mu się więcej wyrozumiałości, nie mniej. Długa blizna na lewej stopie – po wypadku sprzed kilku lat – pulsowała bólem.

Cyrus zameldował się w recepcji szpitala, ruszył korytarzami, minął dwie karmiące matki siedzące obok siebie w poczekalni, a następnie ciąg pustych łóżek na kółkach ze skłębioną pościelą, i wszedł do windy. Gdy wjechał na trzecie piętro, recepcjonistka znowu kazała mu się podpisać i wręczyła mu kartę na to popołudnie. Sandra Kaufmann. Licealna matematyczka. Wykształcona, bezdzietna. Wdowa. Szóstka na skali bólu. Cyrus siedział w gabinecie, zerkając na kamerę. Na ścianie wisiał plakat *Jak zrozumieć raka skóry* z nieapeptycznymi zdjęciami znamion atypowych. ABC czerniaka: A jak asymetria, B jak brzegi poszarpane, C jak czerwony, czarny, niejednolity kolor, D jak duży rozmiar i E jak ewolucja. Cyrus wyobrażał sobie, że Sandra ma wściekle rude włosy, w kolorze znamienia z kategorii „duży rozmiar” na plakacie.

Po minucie weszła młoda studentka medycyny, sama, spojrzała na Cyrusa, potem na kamerę. Była nieco od niego młodsza, kasztanowe włosy miała uczesane w schludny kok z tyłu głowy. Nienaganna postawa budziła skojarzenia z ekskluzywną szkołą z internatem, arystokracją z Nowej Anglii. Cyrus odruchowo ją znienawidził. Ten wielkopański sznyt rodem z Północy. Wyobrażał sobie, że na egzaminie SAT miała od góry do dołu same najlepsze oceny, studiowała na renomowanej uczelni, a potem przeżyła rozczarowanie, bo na staż trafiła do szpitala klinicznego Uniwersytetu Keady’ego, a nie Yale czy Columbii. Wyobraził ją sobie, jak uprawia smutny, beznamiętny seks z synem współnika ojca o wyrzeźbionym ciele, wyobraził ich sobie w wytwornej restauracji przy świecach, jak ponuro dłubią sztucami w cieleninie piccata, nie tknąwszy podanego pieczywa. Oblekła go niewytłumaczalna pogarda, bezlitosna. Cyrusowi nie spodobało się, jak głośno otworzyła drzwi, brukając ciszę, którą się napawał. Znowu zerknęła na kamerę, po czym się przedstawiła.

– Dzień dobry, panno Kaufmann. Jestem doktor Monfort.

– Pani Kaufmann – poprawił ją Cyrus.

Studentka szybko zerknęła na kamerę.

– Hm, słucham?

– Pan Kaufmann może i nie żyje, ja jednak wciąż jestem jego żoną – wyjaśnił Cyrus, wskazując na nieistniejącą obrączkę na palcu lewej dłoni.

– Ba... bardzo panią przepraszam. Po prostu...

– Nie szkodzi, skarbie.

Doktor Monfort odłożyła podkładkę z klipsem i oparła się jedną ręką o zlew, przy którym stała, jak gdyby chciała się zresetować. Po chwili przemówiła:

– Pani Kaufmann, obawiam się, że prześwietlenia wykazały w mózgu obecność dużego guza. Skupisko kilku dużych guzów. Niestety są połączone z wrażliwą tkanką odpowiedzialną za oddychanie i funkcje krążeniowo-oddechowe, nie możemy więc przeprowadzić bezpiecznej operacji bez ryzyka poważnego uszkodzenia tych układów. Opcją może być chemio- i radioterapia, lecz ze względu na umiejscowienie i stopień zaawansowania nowotworu w grę wchodzi raczej leczenie paliatywne. Nasz onkolog będzie mógł powiedzieć pani więcej.

– Paliatywne? – powtórzył Cyrus. Studenci mieli unikać żargonu i eufemizmów. Żadnego „przenoszenia się do lepszego świata”. Zalecano, by jak najczęściej wypowiadano słowo „umierać”, eliminowało bowiem nieporozumienia i pomagało pacjentowi szybciej przejść przez fazę wyparcia.

– Aaa, tak. W celu uśmierzenia bólu. Żeby czuła się pani znośniej, porządkując swoje sprawy.

„Porządkując swoje sprawy”. Szło jej fatalnie. Cyrus jej nienawidził.

– Przepraszam, doktor... zaraz, jak pani...? Milton? Chce mi pani doktor powiedzieć, że ja u m i e r a m? – Cyrus uśmiechał się półgębkiem, wypowiadając to jedno słowo, którego jeszcze nie wymówiła. Skrzywiła się i Cyrus rozkoszował się tym widokiem.



„Akbar w intrygujący sposób ucieka od klisz, uważnie przygląda się lękom współczesnego świata i nie szuka na siłę odpowiedzi na wszystkie istotne pytania. Smutek miesza się tu z komedią, a Donald Trump spotyka – choć nie dosłownie przecież – Marinę Abramović.”

MICHAŁ NOGAŚ, TRÓJKA – PROGRAM 3 POLSKIEGO RADIA

„Akbar jest olśniewającym pisarzem. (...) To, co osiąga w *Męczenniku!*, jest niczym innym jak cudem.”

THE NEW YORK TIMES BOOK REVIEW

Męczennik! Kavego Akbara to opowieść o tym, jak niestrudzenie przez całe życie próbujemy odnaleźć sens – w wierze, sztuce, w nas samych i w innych ludziach. W tej historii osierocony syn irańskich imigrantów, od niedawna niepijący, wiedziony głosami artystów, poetów i władców, podejmuje poszukiwania, które prowadzą go do śmiertelnie chorej malarki, dożywającej swych dni w Muzeum Brooklyńskim.

Cyrus Shams jest młodym mężczyzną, zmagającym się z bagażem przemocy i straty: wskutek bezsensownego wypadku zestrzelono nad Teheranem samolot z jego matką na pokładzie; z kolei życie ojca w Ameryce określała praca na fermie drobiu na Środkowym Zachodzie. Cyrus jest alkoholikiem, narkomanem i poetą, którego obsesja na punkcie męczenników popycha go do zgłębienia tajemnic własnej przeszłości – kluczem do rodzinnego sekretu jest wujek, który przed laty galopował po irańskich polach bitwy, przebrany za Anioła Śmierci, by dodawać otuchy i nieść pocieszenie umierającym, oraz pewien obraz z brooklyńskiej galerii sztuki.

Ta elektryzująca, zabawna, całkowicie oryginalna i głęboka powieść zapowiada pojawienie się nowego głosu na literackiej scenie.

FILIA

Literacka

cena 69,90 zł

ISBN 978-83-8402-134-7



9 788384 021347